

Błażej Brzostek  
Joanna Wawrzyniak

## „Wiklina”. Z historii pewnej warszawskiej kawiarni lat małej stabilizacji

„Na Marszałkowskiej przy Świętokrzyskiej była mała kawiarenka »Wiklina«. W malutkich salkach, na niewygodnych wiklinowych krzeselkach spotykali się młodszy i starsi. Podobno »Wiklinę« prowadziła żona jednego z dowódców Powstania, co wpływało na zapewnienie klientów. Ale w tłoku łatwiej było się przytulić, potrzymać za rękę, więc młodych flirtujących par też było dużo”<sup>1</sup>. Tak przedstawiła jedną z warszawskich kawiarni przełomu lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XX w. autorka wspomnień, wydanych na początku następnego stulecia przez Uniwersytet Trzeciego Wieku. „Wiklina” była kawiarnią prywatną, prowadzoną przez byłych oficerów Armii Krajowej, Jana Mazurkiewicza, ps. „Radosław” i jego żonę Marię, ps. „Irma”. Nie została upamiętniona, jak miejsca spotkań intelektualistów i artystów – kawiarnie „Czytelnika” i „PIW-u”, „Nowy Świat”, „Literacka”, czy Łódzka „Honoratka”<sup>2</sup>. Przywołując historię „Wikliny”, chcemy ukazać specyficzne miejsce w publicznej przestrzeni Warszawy. W niewielkim wnętrzu kawiarni krzyżowało się kilka zjawisk społecznych, które uda się zapewne tylko zasygnalizować: trwałość więzi środowiskowych, specyfika prowadzenia prywatnego interesu w gospodarce centralnie planowanej, ulotne kontakty mniej i bardziej znanych sobie osób.

Po „Wiklinie”, która – usytuowana w bramie obok kina „Bajka” przy ul. Marszałkowskiej – przez kilkanaście lat (od 1958 r. do początków lat siedemdziesiątych) współtworzyła obraz Warszawy, niewiele pozostało. W tym samym lokalu w 2007 r. znajduje się „Beate Uhse Erotic Store”. Kilka lat temu z jednego z mokotowskich mieszkań wyrzucono pozostałości kawiarnianej zastawy stołowej. Zachowały się urywkowe materiały prasowe, lakoniczne doniesienia służb

---

<sup>1</sup> W. Nowak-Gapanowicz, *Warszawa – moje życie, w: Warszawa w naszych wspomnieniach*, praca zbiorowa, Warszawa 2001, s. 142.

<sup>2</sup> Zob. I. Szymańska, *Miałam dar zachwyty. Wspomnienia wydawcy*, oprac. R. Matuszewski, Warszawa 2001, *passim* (o „Czytelniku” i „PIW-ie”); H. Grynberg, *Uchodźcy*, Warszawa 2004, s. 39 (o „Honoratce”).

bezpieczeństwa, kilka dokumentów i dwa zdjęcia wnętrza wykonane przez znanego fotografa, Zbyszka Siemaszkę (zob. fot. 1 i 2).

Ślady „Wikliny” pozostają więc przede wszystkim ulotnymi świadectwami pamięci – kilku osób, które w niej pracowały i nieokreślonej liczby jej bywalców. Zbierając materiały na jej temat, przeprowadziliśmy rozmowy z czterema osobami: Stanisławem Mazurkiewiczem, synem Jana (SM), Czesławem Zaborowskim – pracownikiem kawiarni (CZ)<sup>3</sup>, z pomocnicą barmanki zatrudnioną w połowie lat sześćdziesiątych, wtedy studentką (ES)<sup>4</sup> oraz z bywalczynią „Wikliny”, w latach sześćdziesiątych redaktorką jednego z warszawskich wydawnictw (DZ)<sup>5</sup>. Rozmowy zostały nagrane na taśmę magnetofonową i ich zapisy stanowią najważniejsze wykorzystane źródło<sup>6</sup>. Cytaty podajemy dosłownie<sup>7</sup> dla zachowania ich autentyczności<sup>8</sup>. W artykule uwzględniono także wspomniane wyżej, przyczynkowe źródła zastane i fragmenty wywiadów przeprowadzanych do innych celów.

Teoretycy *oral history* podkreślają, że wywiady są raczej źródłem do znaczeń nadawanych historii przez badanych niż do odtwarzania faktów<sup>9</sup>. Jednak tam, gdzie brakuje innych materiałów, relacje świadków stają się bezcenne dla rekonstrukcji przeszłości<sup>10</sup>. Relacje są subiektywne i zwykle stronicze (to zresztą cechy większości źródeł wykorzystywanych przez historyków)<sup>11</sup>. Nasi rozmówcy zapamiętali nieraz zaskakujące detale (w tym ceny sprzed czterdziestu lat), ale nie mogli sobie przypomnieć, kiedy dokładnie kawiarnia powstała. Trudno

<sup>3</sup> Rozmowa z SM i CZ przeprowadzona 15 kwietnia 2005 r.

<sup>4</sup> Rozmowa z ES i SM przeprowadzona 6 maja 2005 r. ES zastrzegła sobie anonimowość.

<sup>5</sup> Rozmowa z DZ przeprowadzona 26 października 2005 r. DZ zastrzegła sobie anonimowość.

<sup>6</sup> Zapisy nie zostały autoryzowane.

<sup>7</sup> Pomińnięte zostały wielokrotnie powtarzane wtrącenia typu „jakby”, „prawda”.

<sup>8</sup> Historycy polscy rzadko cytują fragmenty uzyskanych relacji. Tymczasem zwolennicy *oral history* zalecają cytowanie wywiadów z zachowaniem języka mówionego. Na przykład R. Samuel, *Perils of the transcript*, „The Journal of the Oral History Society” 1971, nr 2, s. 19–22. Jest to również niemal żelazna zasada w socjologii posługującej się techniką „wywiadu pogłębionego” i „zogniskowanego wywiadu grupowego”.

<sup>9</sup> Na przykład klasyczne teksty: L. Passerini, *Work Ideology and Consensus under Italian Fascism*, „History Workshop Journal”, t. 12, 1978, s. 84–92; A. Portelli, *What Makes Oral History Different*, w: *The Oral History Reader*, red. R. Perks and A. Thomson, London, New York 1998, s. 63–74 [przedruk z tegoż, *The Death of Luigi Trastulli and Other Stories: Form and the Meaning in Oral History*, Albany 1991]. O ewolucji metody *oral history* w historiografii brytyjskiej i włoskiej: M. Kurkowska, *Archiwa pamięci – oral history*, „Historyka”, t. 28, 1998, s. 67–76.

<sup>10</sup> A. Portelli, *op. cit.*, s. 67.

<sup>11</sup> Zob. J. Eisler, *Refleksje nad wykorzystywaniem relacji jako źródła w badaniu historii PRL (rozmowy z dysydentami i prominentami)*, w: „Polska 1944/45–1989. Studia i materiały”, t. 6: *Warsztat badawczy*, Warszawa 2004, s. 50, 51.



1. Widok baru. Fot. Zbyszko Siemaszko, 1959



2. Widok sali. Fot. Zbyszko Siemaszko, 1959

na podstawie relacji określić kolejność wydarzeń. „Dzień jak co dzień”, „tak jak dzisiaj” – czas zapamiętanej codzienności był cykliczny lub odmierzany wydarzeniami charakterystycznymi dla indywidualnej biografii (powrót z emigracji, ślub, pierwsza praca, itp.). Niełatwo także odtworzyć obraz klienteli kawiarni. Opisanie zmiennego, anonimowego tłumu wypełniającego nawet dobrze znany lokal może być kłopotliwe w chwili bieżącej, a tym bardziej po kilkudziesięciu latach. Rozmówcy stwierdzali, że „trudno powiedzieć, kto przychodził” (CZ), „No, trudno mi powiedzieć, no, wchodzili. Zawodów tych ludzi nie znam. Przeciętni ludzie” (ES). Nie oznacza to jednak, by wywiady okazały się pod tym względem jałowe – różne skojarzenia pozwalały bowiem na odtworzenie fragmentów obrazu życia codziennego kawiarni. Pewne grupy bywalców przywołane zostały w pamięci dzięki skojarzeniu z topografią okolic: fragmentu śródmieścia Warszawy o urzędniczo-handlowym charakterze.

Warto też podkreślić, że „Wiklina” nie stanowiła dla rozmówców centralnego epizodu w życiu; wspomnienia o niej zostały wywołane. Raczej odpowiadał oni na pytania, niż tworzyli własne narracje. Ich spontaniczne wypowiedzi podporządkowane były innym wątkom głównym. Dla SM i CZ była nim postać

Jana Mazurkiewicza, „Radosława”, dla DZ i ES życie kulturalne i towarzyskie Warszawy.

## „Życie kawiarniane”

Socjologowie i historycy przypisują instytucji kawiarni znaczenie azylu, separacji od świata zewnętrznego, a jednocześnie miejsca formułowania opinii o tym świecie, czyli tworzenia sfery publicznej. Socjolog francuski pisał, że w jego kraju kawiarnie były od XIX w. dla inteligencji, a następnie dla młodzieży, schronieniem przed państwową biurokracją w życiu publicznym i tradycyjną moralnością w prywatnym<sup>12</sup>. „Kawiarnia jest jakby przedłużeniem domu dla jednych, a możliwością ucieczki z niego dla drugich. W kawiarni można się umówić z osobami, których nie zamierza się wprowadzić ani do swego domu rodzinnego, ani do środowiska zawodowego” – pisał Aleksander Wallis<sup>13</sup>. Kawiarnie izolowały zarówno od domu, jak „ulicy”, podkreślały pewien elitaryzm, a jednocześnie pozostawały miejscami publicznymi, dającymi poczucie uczestnictwa w życiu miasta i jego społeczności. Nadawało to kawiarni szczególny status. Bywał on czasami wyraźniejszy, gdy rzeczywistość ulicy poddana została szczególnym rygorom – jak w okupowanej Warszawie. Liczne kawiarnie, będące zresztą w wielu wypadkach ośrodkami samopomocy środowiskowej (np. aktorów), służyły wtedy jako punkty kontaktowe organizacji konspiracyjnych. Sprzyjało im poczucie pewnej anonimowości, charakterystyczne dla miejskiej kawiarni (gwar, ruch), które jednak ułatwiało także policyjną inwigilację lokali<sup>14</sup>.

Historia polskiej kawiarni powojennej miała swoją specyfikę. Branża zwana „gastronomiczną”, po kilkuletnim okresie rozkwitu zaraz po wojnie, dostała się w ręce państwa, opierającego w okresie stalinizmu rozwój „żywienia zbiorowego” na modelu radzieckim. „Potrzeby społeczeństwa” w tej dziedzinie miały zostać zaspokojone przez sieć zakładowych stołówek, bufetów i jadłodajni. Przywoływano stwierdzenie Włodzimierza Lenina, mówiącego o stołówkach jako „kiełkach komunizmu”, uwalniających kobiety od prac kuchennych i służących równości płci<sup>15</sup>. W wyniku „bitwy o handel” prywatna gastronomia War-

<sup>12</sup> H. Lefèbvre, *Du rural à l'urbain*, oprac. M. Gaviria, Paris 1970, s. 101 i nn.

<sup>13</sup> A. Wallis, *Socjologia wielkiego miasta*, Warszawa 1967, s. 94 i nn.

<sup>14</sup> T. Szarota, *Okupowanej Warszawy dzień powszedni. Studium historyczne*, wyd. III, Warszawa 1988, s. 253 i nn.

<sup>15</sup> T. Sztucki, *Żywnienie zbiorowe czy przemysł gastronomiczny?*, „Handel Wewnętrzny” 1958, t. 6, s. 28; I. Chriekin, *Rozwój handlu wewnętrznego w ZSRR*, „Handel Wewnętrzny” 1967, t. 5, s. 5.

szawy całkowicie zanikła do 1953 r. (w kraju przetrwały do jesieni 1956 r. 254 prywatne zakłady)<sup>16</sup>. Posiłek „na mieście” oznaczał więc kontakt z instytucjami państwa: dania sporządzano według receptur ustalanych urzędowo, a kelnerzy i barmani zaprzętnięci byli wypełnianiem rozmaitych formularzy.

Przedsiębiorstwa „żywienia zbiorowego” zobowiązane były wykonywać plan, co skłaniało do rozwijania sieci głównie w śródmieściu (duży przepływ ludzi) i głównie wyższych kategorii lokali (wysokie ceny)<sup>17</sup>. Gastronomia uległa znacznemu uproszczeniu, zanikało także „przesiadywanie” w lokalach i delektowanie się ich atmosferą. Opisujący Polskę i Warszawę lat stalinizmu wskazywali na zanik dawnego typu „życia kawiarnianego”. „Nie ma dziś kawiarni o typie przedwojennym, takich jak »Ziemiańska« czy »Europejska«, gdzie zbierał się i siedział godzinami świat literacki czy politykujący. Dzisiejsze kawiarenki – to lokaliki małe, szczupłe, nieraz miłe i czyste, częściej – brudne i niechlujne. [...] Ciasno tu, tłocznie, nawet gwarnie – ciągle ruch, stale ktoś wchodzi i wychodzi, bo jest to jedyne dziś miejsce spotkań dla omówienia czy załatwienia bieżących, życiowych spraw. Siedzi się krótko, tyle tylko, ile sprawa wymaga – żadnych przy tym rozmów »zasadniczych«, żadnej wymiany politycznych poglądów, bo nie wiadomo, czy przy stoliku obok nie siedzi agent Bezpieki lub jakiś gorliwiec reżimu”<sup>18</sup>. Rzadkością stały się „tak powszechne niegdyś w cukierniach i kawiarniach typy czytelników gazet, graczy w domino, warcaby lub bilard. Kto pamięta jeszcze cukiernię Kleszcza lub »Warszawiankę« na Nowym Świecie, zrozumie mnie bez słów” – pisał w 1956 r. Wojciech Zabrzecki, dodając, że wśród natłoku klientów nikt się współcześnie nie poważy zajmować stolika na domino<sup>19</sup>. Lata stalinizmu cechowała poza tym osobliwa dwoistość ideologicznych postulatów i codziennych praktyk. Choć projektując wielkomiejskie centrum nowej Warszawy przewidywano tworzenie reprezentacyjnych kawiarni (na MDM otwarto kilka dużych, kosztownie wykończonych lokali), to jednocześnie uczęszczanie do takich przybytków przedstawiano jako drobnomieszczański przeżytek. Świadkowie epoki wspominają o przypadkach publicznego piętnowania osób chadzających do kawiarni<sup>20</sup>. Zdarzenie takie zapamiętała także pani DZ: „To jeszcze na I roku moich studiów [polonistycznych], to był właśnie 1956 rok (to

<sup>16</sup> „Tygodnik Handlowy” z 15 października 1956 r., s. 5; 20 listopada 1956 r., s. 4.

<sup>17</sup> „Tygodnik Handlowy” z 15 października 1956 r., s. 5.

<sup>18</sup> W. Pobóg-Malinowski, *Nocna z rodakiem rozmowa*, „Kultura” (Paryż) 1950, nr. 7–8, s. 142.

<sup>19</sup> „Stolica” z 23 grudnia 1956 r., s. 14.

<sup>20</sup> A. Drawicz, *Wczasy pod lufą*, Warszawa 1997, s. 23; H. Świda-Ziemba, *Człowiek wewnętrznie zniewolony. Problemy psychosocjologiczne minionej formacji*, Warszawa 1998, s. 113.

pamiętam, bo ja zaczynałam studia w momencie dość nietypowym dla PRL-u, bo to był ten przełom październikowy), to jeszcze na I roku moim była debata, zebranie całego roku zwołane chyba przez jakieś tam władze uczelni, już nie pamiętam, bo dwie koleżanki odłączały się od grupy i chodziły na kawę do kawiarni. To był zarzut, to się wydaje przecież paranoją dzisiaj, wtedy też to było paranoją. Pamiętam nawet nazwiska tych dziewczyn”.

Uczęszczanie do kawiarni uchodzi za element stylu życia inteligencji, a zwłaszcza tzw. wolnych zawodów; w połowie lat pięćdziesiątych Marcin Czerwiński obserwował, że kawiarnie warszawskie skupiają „publiczność inteligentką, o dolnej granicy wieku bliższej zapewne trzydziestki niż dwudziestki”<sup>21</sup>. Przy filizance spędza się czas na rozmowie, lekturze lub pisaniu, niektórzy literaci zwykli pozostawać w kawiarni przez wiele godzin, dzieląc czas między znajomych i pracę umysłową. Głównym celem wizyt w kawiarni są rozrywki towarzyskie, podczas gdy restauracja służy na równi kontaktom międzyludzkim, co skupianiu się na daniach. Kawiarnia bardziej sprzyja obserwacji. Do kawiarni się wpada, są to wizyty mniej zobowiązujące, czas ich trwania również bardziej, niż w restauracji, zróżnicowany i zależny od nastroju.

Dla ceniących „życie kawiarniane” problemem była w Warszawie połowy lat pięćdziesiątych nie tylko urzędowa „dyscyplina pracy”, obejmująca także przedstawicieli zawodów, do których nigdy wcześniej się nie stosowała<sup>22</sup>, lecz także jakość obsługi i podawanej w upaństwowionych lokalach kawy. Czytelnik „Expressu Wieczornego” pisał zimą 1956 r., że trudno się napić dobrej kawy, jaką podawano przed wojną i jeszcze w latach 1945–1949. Redakcja komentowała: „Fachowcy od palenia i parzenia kawy, z braku odpowiednich probierni, barów kawowych i kawiarni z prawdziwego zdarzenia, odeszli do innych zawodów”<sup>23</sup>. Gdy pisano te słowa, „życie kawiarniane” stolicy zmierzało już jednak ku urozmaiceniu: służyły mu zmiany polityczne i gospodarcze związane z Polskim Państwem. Rozwijać się zaczęły kawiarnie środowiskowe, powstające przy stowarzyszeniach kulturalnych, modernizowano lokale państwowe i udzielano zezwoleń na prowadzenie interesów prywatnych. Przesiadywanie w kawiarni przestawało być uznawane za wykroczenie przeciw socjalistycznej moralności.

<sup>21</sup> M. Czerwiński, *Kartki z różnych miast*, Warszawa 1957, s. 86.

<sup>22</sup> „Nie chciałem wierzyć, kiedy mój znajomy, poważny architekt, powiedział mi, że nie może spotkać się ze mną na mieście, bo... obowiązuje go dyscyplina pracy. To tak, jak gdyby literatom nakazano przez osiem godzin siedzieć w biurze i pisać tam powieści...” – mówił Antoni Słonimski (*Co jest najważniejsze*, „Stolica” z 27 marca 1955 r., s. 3).

<sup>23</sup> „Express Wieczorny” z 5 grudnia 1956 r., s. 3.

„Jeszcze tak niedawno sama myśl urzędzenia kawiarni w budynku mieszczącym Zarząd Główny Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej (ul. Kredytowa) poczytana byłaby za... herezję! A teraz – kawiarnia istnieje, zyskała już sobie spory zastęp wiernej klienteli – i nic. Przy okazji wypicia filiżanki bardzo dobrej kawy z równie apetycznym kawałkiem tortu, chętni mogą przeczytać najnowsze czasopisma radzieckie” – donoszono latem 1957 r.<sup>24</sup> Jak wspomina DZ.: „Ulica Kredytowa to były znamienne takie dwa miejsca, do których ja chodziłam. Po prawej stronie Kredytowej, idąc w stronę pl. Dąbrowskiego, było Polskie Towarzystwo Ekumeniczne, instytucja też chyba powołana u schyłku lat pięćdziesiątych, i tam była świetna kawa. Mówiło się: »Idziemy na kawę do Ekumenistów«, tam była rzeczywiście kawa jedna z najlepszych w Warszawie w tamtym okresie. Jakaś taka maleńka salka. [...] Natomiast po lewej stronie [...] był taki dziwoląg, jak Zarząd Główny Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej, też na Kredytowej. Tam się wchodziło w bramę, mieściło się tam właśnie kino »Aurora«, gdzie wyświetlano głównie filmy radzieckie, ta kawiarnia TPPR-u i redakcja tygodnika »Przyjaźń«, który był organem Zarządu Głównego Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. [...] I na dole, wchodziło się z lewej strony, była taka sala wystawowa. Zapamiętałam stamtąd, bo to był taki lekki szok, wystawę pejzaży, nawet dosyć ładnych, Włodzimierza Zakrzewskiego, autora tego słynnego plakatu »AK – zapluty karzeł reakcji«. On był tam często wystawiany. Po prawej stronie była ta tzw. kawiarnia TPPR-u. I to było wiecznie... O, ta cecha charakterystyczna wszystkich warszawskich kawiarni: potworne zadymienie. Ja wtedy paliłam, więc mi nie przeszkadzało, ale to było coś nieprawdopodobnego, jaka smuga dymu się zawsze w tych kawiarniach unosiła w powietrzu. Wszędzie”.

Po Październiku powstały i szybko zyskały sławę wśród inteligencji kawiarnie otwarte przy wydawnictwach („Czytelnik” na Wiejskiej, „PIW” na Foksal). Niektóre kawiarnie ozdobiono w sposób nowoczesny, podkreślając krętymi liniami abstrakcyjnych fresków (zwanymi „pikasami”) i wyrazistą kolorystyką, że klasycyzujące i neomieszczkańskie dekoracje z lat socrealizmu odeszły w przeszłość<sup>25</sup>. Znikł także całkowity monopol państwa w gastronomii warszawskiej. Zwalniani w ramach wielkiej redukcji lat 1956–1957 pracownicy administracji zakładali przedsiębiorstwa, w tym gastronomiczne, niektórzy przekwalifikowali się na kelnerów<sup>26</sup>. W 1957 r. powstały m.in. restauracje „Zamkowa” (którą założyli

<sup>24</sup> „Stolica” z 23 czerwca 1957 r., s. 5.

<sup>25</sup> J. Łowiński, *Kawiarnie warszawskie*, „Architektura” 1959, nr 10, s. 429–440.

<sup>26</sup> „Gazeta Handlowa” z 5 marca 1957 r., s. 1.

przy Krakowskim Przedmieściu byli pracownicy Ministerstwa Rolnictwa) i „Pod Wiechą” (zwolnieni z Ministerstwa Skupu, ul. Chocimska 28), kawiarnie „Paloma” (byłe urzędniczeki PKPG, w dawnym biurze przepustek tejże instytucji przy pl. Trzech Krzyży), „Ewa” (zwolnieni z Mostostalu, ul. Bracka 4), dwie kawiarnie „Ali Baba” (przy ul. Miodowej i Złotej)<sup>27</sup>. Jesienią istniało 36 prywatnych zakładów gastronomicznych (połowę prowadziły osoby zwolnione z administracji), a w 1959 r. – 47. Ogółem w tymże roku działały w stolicy 323 lokale, w tym 114 kawiarni i cukierni. Zestawione z przedwojennymi (1685 lokali w 1938 r., 750 mieszkańców na każdy), czy współczesnymi z niektórych stolic (w Pradze Czeskiej 1200 lokali, 810 mieszkańców; w Londynie 13 tysięcy lokali, 700 mieszkańców) dane te wskazywały na ubóstwo oferty<sup>28</sup>. Przeprowadzone na początku lat sześćdziesiątych badania socjologiczne wskazywały zresztą na znaczne „domatorstwo gastronomiczne” mieszkańców Warszawy, którzy przeważnie jadali w domu, uważając posiłki „na mieście” za drogie i niesmaczne<sup>29</sup>. Niezależnie od tego, niektóre cechy miasta skłaniały do umawiania się w lokalach publicznych. „Warszawa w tamtym okresie była miastem, gdzie się ludzie spotykali właśnie w kawiarniach. Nie było takich rozmaitych domowych jakichś... Mieszkania były ciasne, ludzie nie mieli mieszkań w bardzo wielu przypadkach. Masa ludzi wynajmowała pokoje jakieś sublokatorskie. Nie było tej możliwości. Ten głód mieszkaniowy w ówczesnej Warszawie był przerażający. Kawiarnia była po prostu takim miejscem, gdzie się szło po pracy czy w czasie studiów, żeby właśnie wyskoczyć na jakąś rozmowę, czy spotkać się z kimś, z przyjaciółmi” (DZ). Niektóre lokale stały się miejscami stałych spotkań środowiskowych. W połowie lat sześćdziesiątych donoszono: „W »Syrence« na Tamce spotykają się rzemieślnicy, w »Mirowskiej« na Solnej – prawnicy, w »Wilanowskiej« w Alejach Ujazdowskich – cała orkiestra Rachonia. Kierowcy taksówek wzięli w posiadanie »Paranę« i barek »Pod gwiazdami«, emeryci są stałymi bywalcami »Jedynej« na Brackiej. W »Nowym Świecie« przesiaduje pan Ludwik Sempoliński w gronie aktorów, zawsze między 11 a 12, zawsze przy swoim stoliku. »Świtezianka« jest kawiarnią dziennikarzy, w »Szwajcarskiej« spotykają się przedstawiciele nielegalnego handlu”<sup>30</sup>.

<sup>27</sup> „Stolica” z 5 maja 1957 r., s. 5; 9 czerwca 1957 r., s. 6; 6 października 1957 r., s. 5; 24 listopada 1957 r., s. 5.

<sup>28</sup> Archiwum Akt Nowych (dalej – AAN), Zespół KC PZPR, 237/VII–3615, k. 60, Sytuacja w drobnej wytwórczości a zaopatrzenie ludności Warszawy [IX 1957]; *ibidem*, 237/VII–4536, k. 250, Projekt materiału informacyjnego na wrześniową Sesję Rady Narodowej..., Wydział Handlu Prezydium Stołecznej Rady Narodowej, 30 VI 1959 r.

<sup>29</sup> „Stolica” z 3 listopada 1963 r., s. 3.

<sup>30</sup> „Życie Warszawy” z 15 września 1965 r., cyt. za: A. Wallis, op. cit., s. 92 i nn.



W ciągu kilku lat pomyślny klimat dla prywatnych kawiarni stał się wspomnieniem. Właściciele zmagali się z kłopotami zaopatrzeniowymi, kontrolami, zmuszeni byli „opłacać się” w urzędach. Odbijało się to na działaniu lokali. Oto wrażenia warszawianki, która odwiedziła w 1962 r. „Ali Babę” przy Miodowej: „Ciastka były nieświeże i pozbawione smaku, kawa anemiczna, stoliki brudne. Prosiłam o serwetki. Powiedziano mi, że w tym lokalu nie ma serwetek. Kieliszek do wina był słabo domyty. Na zamówionych osiem ciastek tortowych, podano dwa, bo więcej podobno nie było”<sup>31</sup>. Z podobnymi problemami zmagali się także właściciele „Wikliny”, jednak – jak się zdaje – skutkiem niedoborów było w stanie zaradzić szczególne oddanie personelu. Bardzo niesmaczną, a serwowaną powszechnie, „przydziałową” kawę „Robusta” mieszano w „Wiklinie” z kosztowną „Pedros” (ES). Klientów nie trzeba było zresztą przyciągać ani szczególnym menu, ani widocznym szyldem. „Reklama, czy coś – to w ogóle nie było sensu nawet tą reklamą się zajmować. Kto miał przyjść, to przyszedł” (SM). Nie było muzyki (jedynie cicho grające radio u barmanek), nie wykładano żadnych gazet. Samo istnienie kawiarni w tej pustawej okolicy pozwalało na duży obrót.

## Miejsce

„Wiklina” usytuowana była na parterze budynku mieszkalnego, stanowiącego część zespołu ciągnącego się po wschodniej stronie ul. Marszałkowskiej od skrzyżowania z ul. Świętokrzyską niemal do ul. Królewskiej. Monumentalne bryły wpisywały się w wizję wielkomiejskości właściwą dla socrealizmu, jednak ich fasady otrzymały oszczędną dekorację, należącą już do czasów „Odwilży”<sup>32</sup>. W założeniu stanowić miały jedynie niewielką część zwartej zabudowy głównych ulic Śródmieścia. Załamanie się w połowie lat pięćdziesiątych zarówno wizji projektowych, jak i przekonania decydentów o możliwościach ekonomicznych kraju, sprawiło jednak, że w drugiej połowie dekady skrzyżowanie ziało pustką: trzy pozostałe rogi nie były zabudowane. Kawiarnia mieściła się między kinem „Bajka” a dużym sklepem futrzarskim na rogu Świętokrzyskiej. Pani ES wspomina: „Były dwa wejścia. To od kina »Bajka«, główne wejście. To się wchodziło i była zaraz szatnia, na środku. Po lewej stronie był bar, w którym ja

<sup>31</sup> „Express Wieczorny” z 8–9 kwietnia 1962 r., s. 7.

<sup>32</sup> Projekt zespołu mieszkalnego (adres ul. Marszałkowska 136–140), przygotowany przez znany zespół „Tygrysów” (Wacław Kłyszewski, Jerzy Mokrzyński, Eugeniusz Wierzbicki) powstał w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych, całość realizowano w latach 1954–1961.

pracowałam. A po prawej stronie była sala, tam, gdzie kelnerki obsługiwały. I to zaplecze. Zaraz za szatnią było przejście (ubikacja była wewnątrz), i było to zaplecze. Tam zmywało się naczynia. I z tyłu był jeszcze taki pokoik, do którego wejście było z drugiej strony, tam, gdzie zawsze pan Mazurkiewicz był. To był najważniejszy, mały pokoik, gdzie wszystkie papiery były. Przecież musiał wszystko prowadzić, musiał wszystko odnotowywać, wszystkie dostawy, codziennie musiał spisywać. Przecież trzeba było remanenty tak zwane robić, ile wina, ile kawy, to wszystko tam musiało być prowadzone. I to było takie małeństwo, taka dziupla”

Pani DZ, która bywała w kawiarni, tak ją opisała: „Wrażenie takie zasadnicze, które narzucało się, to to, że było ciemno [...] Dlatego, że tam było wszystko z wikliny. Meble były z wikliny, dość wygodne foteliki wiklinowe, stoliki z wikliny, przykryte chyba szklaną taflą, okrągłe były te stoliczki, niewielkie. Światło było w takich abażurach z wikliny, było zwisające z sufitu, takie właśnie prostokątne jakieś obudowy z wikliny. I to światło przez tę wiklinę się przesączało, i było rzeczywiście ciemno w tej kawiarni. Co ja z tego zapamiętałam? Tam chyba kawa była dosyć tania i była lepsza, niż gdzie indziej. Było tam zawsze pełno ludzi”

Pracujący w „Wiklinie” uważali miejsce, w którym się znajdowała kawiarnia, za styk miasta i „Dzikiego Zachodu” (SM i ES). Choć nazywano tak zwykle ruiny i zdewastowane kamienice na zachód od ul. Emilii Plater, czyli około kilometra od „Wikliny”, rozmówcy najwyraźniej kojarzyli z nim równie zaniedbaną okolicę ul. Bagno i pawilony handlowe „prywatnej inicjatywy” po północno-zachodniej stronie ul. Marszałkowskiej, wzniesione w 1958 r. Do początków następnej dekady istniała też na wprost Pałacu Kultury i Nauki tzw. parterowa Marszałkowska, czyli ciąg pospiesznie odremontowanych po wojnie parterów zburzonych kamienic, w których mieściły się sklepiki i warsztaty usługowe. Na południowo-wschodnim narożniku ul. Świętokrzyskiej tkwił wysoki zrujnowany szkielet żelbetowy banku, wzniesionego wkrótce przed wybuchem wojny. Rozebrano go, podobnie jak sklepiki „parterowej Marszałkowskiej”, u progu lat sześćdziesiątych, gdy rozpoczynano – jak się okazało, przewlekłą – budowę zespołu handlowo-mieszkalnego tzw. Ściany Wschodniej, czyli nowego centrum miasta. Południowo-zachodni narożnik skrzyżowania to natomiast brzeg ogromnego Placu Defilad, służącego od końca lat pięćdziesiątych jako parking, miejsca nieprzyjaznego, „Pustyni Gobi”<sup>33</sup>. Pani DZ okolice te kojarzyły się prze-

<sup>33</sup> Tak mawiali o placu pracownicy tygodnika „Polityka”, którzy musieli codziennie pokonywać tę rozległą przestrzeń, ponieważ do 1959 r. redakcja mieściła się w Pałacu Kultury i Nauki. Mieczysław F. Rakowski, *Dzienniki polityczne 1958–1962*, Warszawa 1998, s. 107.

de wszystkim „z pustką”. „Świętokrzyska była ulicą niesamowicie martwą. Ja pamiętam, zresztą pisałam kiedyś o tym, miałam takiego profesora, polonistę – profesor Wolpe – i on spędził całą wojnę na Syberii. Tam byli z żoną wysiedleni. Dzięki temu zresztą ocaleli, bo oni byli Żydami, więc przecież wiadomo, jaki los ich tu czekał, gdyby zostali. Uroczy to był człowiek, bardzo taki ciepły, kulturalny, miły pan od romantyzmu. Ja spotkałam go kiedyś na Świętokrzyskiej, to były lata sześćdziesiąte, [...] zaczął mi opowiadać o przedwojennej Świętokrzyskiej. Jaka to była ulica, właśnie o tych antykwariatach, o tym wszystkim, co tam się na tej ulicy działo. [...] I on mówi, że jak z żoną byli na Syberii, to przez wszystkie te lata odtwarzali sobie ulicę Świętokrzyską, w ogóle Warszawę – dom po domu, sytuację po sytuacji. I że tych wspomnień im starczyło na wszystkie te miesiące wygnania. I ja sobie usiłowałam wyobrazić, co ja zapamiętałam ze Świętokrzyskiej mojej młodości. Nic! To była pusta ulica, wymarła, zaludniająca się o ósmej rano i o czwartej, kiedy wychodzili urzędnicy” (DZ).

Miejsce należało do „przelotowych”, nie skłaniało do spacerów, zatrzymywania się bez potrzeby. Profesor Uniwersytetu Warszawskiego wspomina, że wielokrotnie jako młody człowiek widział z okien tramwaju napis „Wiklina”, nigdy jednak nie przyszło mu do głowy, by zatrzymać się i tam wejść<sup>34</sup>. Wiadomo jednak, że kawiarnia nie narzekała na brak klientów. Podawano w niej kawę, herbatę i ciastka oraz wino. „Trochę wina było, ale to te niskoprocentowe, wytrawne te wina, bo to kupowało się, szło się do sklepu po butelki tego wina. To się nie sprowadzało hurtowo, tylko po prostu po sklepie chodziłem i gdzie było takie wino, takie było potrzebne, kupowałem” – opowiada CZ, który zdobywał i przynosił do kawiarni także cukier czy kawę. Syn „Radosława” chodził do Bliklego po ciastka. Pani ES mówi: „Nawet ceny pamiętam. »Szatan« kosztował 5.00, bo był mocniejszy, ciastka po 2.50, 4.30 to był taki napój gazowany, tak zamykany [porcelitowy korek] »Fruktovit«, dosyć drogi był. Wina też ceny pamiętam, bo ja tam w barze pracowałam. »Mister Calabes« 8.90, to było wino słodkie, najdroższe było »Martini« 24.30, i było »Pellegrini« 16.30. Było wino także »Badacsonyi«, tylko »Badacsonyi« różne – szlachetne 8.90, było też [...] po 5.70 chyba była lampka”.

<sup>34</sup> Wypowiedź prof. Marcina Kuli na jego seminarium doktorskim w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Warszawskiego, 20 października 2005 r.

## Właściciele

„W najbliższym czasie zamierza w Warszawie otworzyć kawiarnię na prowdzenie której ma zezwolenie” – zapisał oficer Służb Bezpieczeństwa w długim raporcie na temat Jana Mazurkiewicza „Radosława”, datowanym 8 października 1957 r.<sup>35</sup> Opowieść o tym, jak zawodowy wojskowy – legionista, oficer „Dwójki”, szef Kedywu Komendy Głównej Armii Krajowej, dowódca jednego z powstańczych zgrupowań, komendant Obszaru Centralnego Delegatury Sił Zbrojnych, odznaczony Krzyżem Niepodległości z Mieczami, Orderami *Virtuti Militari* IV i V klasy i jedenastoma Krzyżami Walecznych – stał się właścicielem kawiarni daje interesujący wgląd w powojenne dzieje ludzi AK<sup>36</sup>. W relacjach osób bliższych „Radosławowi” znalazły się dwa wyjaśnienia dotyczące założenia „Wikliny” – poszukiwanie zajęcia dającego pewną niezależność (SM) oraz chęć uczestniczenia w środowiskowej samopomocy (SM, CZ).

Sześćdziesięcioletniego „Radosława” i jego żonę zwolniono w 1956 r. z więzienia, gdzie przesiedzieli siedem lat<sup>37</sup>. Odszkodowanie pozwalało na pokrycie niezbędnych potrzeb, ale nie na dalsze utrzymanie. Mazurkiewicz odrzucił jednak propozycje zawodowe, które wiązałyby go z instytucjami państwowymi. „Jemu też proponowano jakąś placówkę czy coś, on się tego bał i tego nie mógł przyjąć. Przyjęcie jakiejś emerytury czy renty, to też źle by to wyglądało. A to, to była taka fikcja trochę, że jest niezależny, bo kawiarnia. Ale innego rozwiązania chyba nie było” (SM).

Decyzja o założeniu rodzinnego interesu nawiązywała do działalności sprzed aresztowania. W drugiej połowie lat czterdziestych „Radosław” wraz z innymi pułkownikami AK, Kazimierzem Plutą-Czachowskim i Janem Gorazdowskim, prowadzili sklep przy ul. Nowogrodzkiej, stanowiący zarówno źródło dochodu, jak i miejsce wymiany informacji i udzielania pomocy osobom z ich środowiska<sup>38</sup>.

---

<sup>35</sup> Archiwum Instytutu Pamięci Narodowej (dalej – AIPN), 0330/217, t. 2, k. 133–144, tu:143: Notatka służbowa dot. Mazurkiewicz Jana vel Sochy Jana ps. „Zagłoba”, „Radosław” i „Urban” s. Bazylego ur. 27.03.1896 w Lwowie zam. Warszawa ul/ Dąbrówki 9/11 m. 5, z dn. 8 października 1957. Sporządził st. oficer operac. Wydż. I Dep III K. Pawłowicz, kpt.

<sup>36</sup> Najwięcej informacji biograficznych na temat »Radosława« można znaleźć w książce Stanisława Mazurkiewicza, *Jan Mazurkiewicz. „Radosław”, „Sęp”, „Zagłoba”,* Warszawa 1994.

<sup>37</sup> Szczegóły aresztowania i śledztwa podał Tomasz Łabuszewski w referacie „Sprawa »Radosława«. W kręgu urojonej konspiracji”, wygłoszonym na konferencji „Walka o pamięć – władze i społeczeństwo wobec Powstania Warszawskiego, 1944–1989” (3–4 IX 2005, Muzeum Powstania Warszawskiego).

<sup>38</sup> AIPN, 0330/217, t. 2, k. 137, Notatka służbowa dot. Mazurkiewicz Jana vel Sochy...; por. S. Mazurkiewicz, *op. cit.*, s. 380.

Po wyjściu z więzienia Mazurkiewiczowie utrzymywali się z handlu kapturkami przeciwdeszczowymi (według syna, dzięki przysyłanym przez z niego z Anglii specjalnemu urządzeniu i cienkiej folii, której brakowało w kraju, oraz determinacji ojca, który rozwoził ciężkie paczki, bez samochodu, do różnych miast w Polsce, interes ten przynosił zyski). Pod wpływem rad znajomych zdecydowali się na założenie kawiarni. Działalność ta uchodziła wówczas za intratną i stosunkowo mało kłopotliwą (w kawiarniach nie sprzedawano mocnych trunków). „Wiklina” została formalnie zapisana na Marię Mazurkiewiczową.

Kawiarnia była nie tylko źródłem utrzymania dla ciężko doświadczonego małżeństwa, ale i znaczącym punktem na mapie Warszawy w okresie odżywiania po latach stalinizmu różnych inicjatyw społecznych. Po 1956 r. ożywiły się grupy kombatanckie<sup>39</sup>, w stolicy zwłaszcza AK-owskie. Nasilenie spotkań towarzyskich i uroczystości rocznicowych stało się przedmiotem notatek pracowników Służb Bezpieczeństwa donoszących o „najrozmaitszych zebraniach środowiskowych, prywatnych naradach, herbatkach, itp., których mamy całą masę, a które odbywają się pod pretekstem sprawy wstępowania do ZBoWiD-u. Jeżeli do tego dodamy ogromną ilość różnych zjazdów i spotkań z okazji szeregu rocznic, odsłanianie tablic itp., to nie ulega wątpliwości, że stwarzają one doskonałe warunki do odnawiania kontaktów i umiejscawiania się”<sup>40</sup>. Tak ówczesną atmosferę zapamiętał CZ: „po cichu to tu żeśmy się spotykali w mieszkaniu, to tu w kawiarni gdzieś i po prostu jeden drugiemu jak mógł to pomagał”. SB posiadała informacje, wedle których Jan Mazurkiewicz „osobiście uczestniczy prawie we wszystkich zorganizowanych zebraniach środowiskowych, na których duży nacisk kładzie na konieczność zbierania materiałów w celu opracowania »prawdziwej« historii AK [...]. Pod pretekstem zbierania materiałów historycznych urządza spotkania z b[ylými] czł[onkami] AK z batalionów »Miotła« i »Parasol«, »Baszta«, »Zośka« i innych w mieszkaniach prywatnych. Zaleca również

<sup>39</sup> Zob. A. Friszke, *Przystosowanie i opór. Rozważania nad postawami społecznymi 1956–1970*, w: *Komunizm. Ideologia, system, ludzie*, red. T. Szarota, Warszawa 2001, s. 147, 148; J. Marszałec, *Na „spotkanie” ludziom z AK. Służba Bezpieczeństwa wobec środowisk akowskich po 1956 roku na Wybrzeżu Gdańskim*, „Pamięć i Sprawiedliwość” 2005, nr 1, s. 276–290; J.Z. Sawicki, *Bitwa o prawdę. Historia zmagania o pamięć Powstania Warszawskiego 1944–1989*, Warszawa 2005, s. 100–116; J. Wawrzyniak, *Pamięć negocjowana, czyli o sporach wokół postaci kombatananta w Polsce komunistycznej (1956–1968)*, w: *Wobec przeszłości. Pamięć przeszłości jako element kultury współczesnej*, red. A. Szpociński, Warszawa 2005, s. 92–111.

<sup>40</sup> AIPN, MSW, II/3854, k. 23, Ocena działalności niektórych wrogich elementów b. AK-WiN w ZBoWiDzie, z 26 X 1957, Z-ca Naczelnika Wydz. I Dep. III MSW, mjr Kamiński; *ibidem*, k. 14, Notatka informacyjna z 8 V 1957 r. Zob. też inne notatki pod tą sygnaturą i MSW II/3857.

utrzymywanie kontaktów prywatnych przez organizowanie różnego rodzaju herbatek i odwiedzin w małych grupkach<sup>41</sup>.

„Radosław” był znany w kręgach weteranów nie tylko z powodu swojej przeszłości wojennej, ale również z działalności po 1945 r.: aktywności w Komisji Likwidacyjnej AK, udziału w ekshumacjach, dbałości o kwatery powstańcze na Powązkach, budowy ochronki dla sierot, organizacji warsztatów pracy, wysiłków zapewnienia miejsca AK-owcom w życiu publicznym<sup>42</sup>. W czasie „Odwilży” dla wielu ludzi były dowódca stał się ważnym punktem odniesienia: „po wyjściu z więzienia, AK-owcy, którzy siedzieli lub nie siedzieli, oni się do niego autentycznie garnęli. On był taki autentyczny autorytet, on taki społecznik z zamiłowania” (SM). Pracownik SB zapisał, że Mazurkiewiczowi „udało się skupić wielu b[yłych] czł[onków] AK wokół swojej osoby, szczególnie z ugrupowań, z którymi walczył w powstaniu warszawskim. Z terenu Warszawy »Radosław« żyje w najbliższych stosunkach z Jabłońskim (szef Oddz. II Łódzkiego Okręgu AK), z Kozłowskim (z batalionu »Zośka«), Rychterem ps. Żegota (dowódca 27 DP AK) i wielu innymi, którzy nie piastowali wyższych stanowisk w b. organizacjach”. Zaznaczył, że Jan Mazurkiewicz „stara się w wielu sprawach AK-owskich o rehabilitacje i występuje w nich często w charakterze świadka [...] prawie z całego kraju nadchodzą do niego różne listowne podziękowania za udzielaną pomoc i radę. Poza tym nawiązał on kontakt z klerem katolickim w Warszawie, który aktywnie włączył się do akcji udzielania pomocy b. AK-owcom<sup>43</sup>. CZ wspominał: „bardzo dużo paczek nadawaliśmy żywnościowych. A kupowaliśmy, ponieważ trudno było kupić – szynkę, suchą kiełbasę, mieliśmy taki punkt zaopatrzenia u pana Pawłowskiego, bo u niego było wszystko [...]. Bo nikt w to nie uwierzył, ale Szef te paczki robił z zysku z »Wikliny«”.

<sup>41</sup> AIPN, 0330/217, t. 2, k. 140, Notatka służbowa dot. Mazurkiewicz Jana vel Sochy Jana...

<sup>42</sup> S. Mazurkiewicz, *op. cit.*, s. 370–375. W cytowanym już raporcie SB tak charakteryzowano działalność „Radosława” w okresie zaraz po zakończeniu wojny: „po ujawnieniu [w 1945 r. – *przyp. aut.*] Mazurkiewicz utrzymywał nadal ścisły kontakt z członkami oddziałów ze swego zgrupowania (»Zośka«, »Parasol« i »Miotła«) urządzając wspólne opłatki, jajka oraz zimowiska w górach. Mazurkiewicz udzielał również pożyczek z posiadanych przez siebie funduszów poakowskich na zakładanie przez AK-owców sklepów, warsztatów rzemieślniczych i spółdzielni, co miało na celu utrzymanie więzi między AK-owcami [...]. Ponadto w 1946 r. na propozycję ówczesnego premiera Osóbki-Morawskiego – M. został wiceprezesem Towarzystwa Przyjaciół Szkół Wyższych, które to stanowisko wykorzystywał dla ułatwienia b. akowcom wstępu na wyższe uczelnie, otrzymywanie stypendiów, itp.” AIPN, 0330/217, t. 2, k. 137, Notatka służbowa dot. Mazurkiewicz Jana vel Sochy Jana...

<sup>43</sup> AIPN, 0330/217, t. 2, k. 141, Notatka służbowa dot. Mazurkiewicz Jan, 8 I 1957, sporządził K. Pawłowicz, St. Oficer Operac. Wydż. I Dep. III.

Atmosferę kawiarni kształtowała więc przeszłość jej właścicieli. Podobno wybór nazwy lokalu nie był przypadkowy: „SzeF jakiś kryptonim miał gdzieś kiedyś, jakąś komórkę, i dlatego ją nazwał »Wiklina«” – wyjaśnia CZ. W założeniu kawiarni pomagali Mazurkiewiczom znajomi, którzy doradzali, ułatwiali nawiązywanie kontaktów w gospodarce prywatnej oraz pożyczali pieniądze. Pomogli też przystosować lokal w świeżo wybudowanym gmachu przy ul. Marszałkowskiej i zdobyć wyposażenie: „to rzeczywiście wszystko pomogli jacyś znajomi, przeważnie AK-owcy, tacy, którzy kogoś tam znali. Była kwestia, że trzeba było przystosować ten lokal do potrzeb takich technicznych, gdzieś tam było jakąś ścianę działową postawić. To wszystko były wielkie historie...” (SM). „Pamiętam te fotele na kredyt, te fotele to ktoś zrobił, a jak SzeF będzie miał pieniądze, to zapłaci” (CZ). „To był jeden zaprzyjaźniony taki architekt... Ale ja już nie pamiętam, jak on się nazywał, i on podpowiadał. [...] Każden, kto pomagał przy tym, to specjalnie swojego nazwiska nie chciał uwidocznic ze względu na strach. Uczciwie mówię. Pomimo tego, że pomagali SzeFowi, ale ten okres wcale nie był ciekawy” (CZ). Kłopotliwe było zdobycie ekspresu do kawy, reperowanie go przy braku części – to także wymagało kontaktów i pomocy: „To były straszne czasy. Przecież nic nie było” (SM).

Przyjaciele brali też udział w prowadzeniu kawiarni. Podczas nieobecności Mazurkiewiczów interesów pilnowali płk Stefan Tomków, znajomy z lat międzywojennych, towarzysz walki „Radosława” w Powstaniu (zob. fot. 3), Antonina Piątkowska, znajoma jeszcze z czasów pierwszej wojny światowej i konspiracji z 1939 r., więźniarka Auschwitz<sup>44</sup>. Zatrudnienie pani Piątkowskiej w „Wiklinie” miało charakter obopólnej pomocy, sama bowiem znajdowała się w trudnej sytuacji finansowej. Jej list z 25 lipca 1959 r. dokumentuje zarówno bliskość kontaktów z Mazurkiewiczami, jak i stosunek do „Wikliny” jako wspólnej „sprawy” o dużym znaczeniu emocjonalnym:

„Kochani!

Już za parę dni – zobaczymy się! Witamy już serdecznie!!

Z listów »handlowych« – wyczuwamy, że »Wiklinowe« troski wypełniają już Serduszka kochane.

Zapewniając, że nie ma żadnych specjalnych kłopotów i że »szafa gra« – podajemy do wiadomości Państwa kilka wyjaśnień co do spraw, o kt[órych] Pan Pułkownik pisze – mianowicie:

– Wczoraj była pani Nata i osobiście zakomunikowała o swojej rezygnacji z dalszej pracy.

– Janka (zmywaczka) już od czasu dłuższego wychodzi na salę i podaje zręcznie, a w obliczeniach też zdaje egzamin. Pewne okoliczności upoważniły Tosię do tego posunięcia. Pracowita to i grzeczna dziewczynka.

---

<sup>44</sup> S. Mazurkiewicz, *op. cit.*, s. 127, 128 (p. Piątkowska), 290, 292, 299, 302, 330, 332 (płk Tomków).



3. Jan Mazurkiewicz i Stefan Tomków na ul. Świątokrzyskiej. Lata sześćdziesiąte XX w. Fot. ze zbiorów S. Mazurkiewicza

- Pani Lilka b. miła i serdecznie jest oddana sprawie »Wikliny«.
- Pani Zosia pracuje z troską o dobro »Wikliny«.
- Wszelkie zmiany, o kt[órych] Pan pisze załatwią Państwo bez trudu – osobiście, a na razie wszystko idzie po myśli Państwa.

Żadnych niespodzianek, żadnych nadzwyczajnych kłopotów – zapewniamy!!! »Wiklina« czeka z uśmiechem i radością – a bieżące kłopoty nie powinny niepokoić Państwa.

Zmartwiłyśmy się wiadomością o samopoczuciu Pani – Pani Haneczko najdroższa. Cieszymy się b[ardzo], że Pan Pułkownik wraca do W-wy w dobrej formie.

Serdecznie radujemy się, że mogliśmy przyjąć na siebie Wasze troski i kłopoty »Wiklinowe«. Moja rola sekretarki, kontrolera finansowego, kasowego i zastępcy kierownika (aha, tyle funkcji???) itp. – dobiega końca. Serca nasze biją trwogą – co nas czeka?? – do miłego!! Czule ściskam i łączymy moc dobrych życzeń i myśli. Dobrej drogi!!

Czekamy Lilka, Tosia<sup>45</sup>

Osobą niezbędną stał się również CZ, były żołnierz „Miotły” – pełnił przejściowo funkcje szatniarza, zaopatrzeniowca, podręcznego. Podobnie jak płk Tomków, pomagał zarówno w prowadzeniu interesu, jak i w załatwianiu kombatanckich spraw AK. Współpracował z „Radosławem” do jego śmierci, a dużo później, w raporcie przeznaczonym dla SB zgrzyźliwie został określony jako „członek sztabu” Mazurkiewicza<sup>46</sup>. Pozostali pracownicy – dwie kelnerki, dwie

<sup>45</sup> List w zbiorach Stanisława Mazurkiewicza.

<sup>46</sup> AIPN, 0236/409, t. 2, k. 16, Notatka służbowa z uroczystości związanej z wyzwoleniem



bufetowe, studentka-pomoc bufetu (ES) i dwie osoby zmywające naczynia – nie miały już związku z AK. Jednak ES połączyły z rodziną Mazurkiewiczów więzi rodzinne, a jedna z bufetowych była osobą bliską i zaufaną.

Nazwisko „Radosława” jako weterana AK miało również ułatwiać załatwianie spraw urzędowych: „muszę powiedzieć, że jak się chodziło do Urzędu Skarbowego, to rzeczywiście, szacunek był niesamowity” (CZ). „Załatwianie na AK” stało się także jednym ze sposobów na prowadzenie interesu w gospodarce niedoborów: „właśnie na zasadzie jakiś znajomości. Wtedy to było AK, to była taka furtka” (SM). Zdaniem rozmówców, „wszyscy wiedzieli, że »Wiklina« to jest AK. Wszyscy wiedzieli (CZ), więc „można było zatelefonować: pułkownik »Radosław« prosi, czy coś. I już” (SM). „Wiklina” mogła funkcjonować dzięki nieformalnym powiązaniom w sektorze prywatnym. Były one konieczne w warunkach stałych deficytów, np. braku „przydziałowej” kawy, po którą należało jeździć gdzieś na Wołę. W trudnych sytuacjach pomocny był zaprzyjaźniony pan Pawłowski, „który miał sklep kolonialny, i on mógł skupować tę kawę, którą przywozili... [...] Nie zawsze była ta kawa nawet i u pana Pawłowskiego, ale pan Pawłowski to zadzwonił, że jest kawa” (CZ). „Z tą kawą, to wydaje mi się, że też było, że ktoś miał jakiś zapas, albo coś, to sobie pożyczali i tak dalej. No, różnie to było. Ale wiem, że były problemy. No, moment taki, że nie ma kawy” (SM). Kontakty handlowe wzmocnione były bez wątpienia więzami kombatanckimi: „wina nie było, no to do K. szedłem »Mieciu, musi być wino«” (CZ). K. był żołnierzem „Żegoty”, który prowadził handlową spółdzielnię inwalidów.

We wspomnieniach osób bliskich „Radosławowi” uwypuklony został jego wielki autorytet. Opinie ówczesnych były jednak podzielone. Raporty SB zwracają również uwagę na konflikty występujące wśród kadr dowódczych AK w późnych latach pięćdziesiątych<sup>47</sup>. „Radosławowi” zarzucano m.in. zbyt uległość w kontaktach z przedstawicielami władzy, wypominano działalność w Komisji Likwidacyjnej, uważano prowadzenie kawiarni za działalność mało poważną<sup>48</sup>. Podczas publicznego wystąpienia w 1959 r., gdy Mazurkiewicz „mówił o włączeniu się akowców w nurt życia politycznego i użył sformułowania o drzwiach

---

Warszawy zorganizowanej przez koło ZBoWiD przy ZM Ursus, 20 I 1983 r. Gen. dyw. Waclaw Czyżewski, wiceprezes ZG ZBoWiD.

<sup>47</sup> J.Z. Sawicki, *op. cit.*, s. 130 i n.

<sup>48</sup> AIPN, 0330/217, t. 2, k. 144, Notatka służbowa dot. Mazurkiewicz Jana vel Sochy Jana...; *ibidem*, k. 156,157, Wyciąg z agenturalnego doniesienia inf. ps. „Chałupicki” z dn. 22.X.57 r.; *ibidem*, k. 181–185, Doniesienie agencyjne z 2.X.1958 r.; AIPN, MSW, II/3854, k. 30, Ocena działalności...

szeroko otwartych – padły słowa »tak, otwartych do kawiarni«<sup>49</sup>. Postać „Radosława” budziła nieuzasadnione podejrzenia. Przypomniała je DZ mówiąc o „Wiklinie”: „»Radosław« nigdy nie był taką postacią jednoznaczną. Z jednej strony to było dobrze, że coś takiego istnieje w Warszawie, a z drugiej mówiło się, że – z takich zupełnych plotek, rzeczy zupełnie zasłyszane, nie mogą za to wziąć żadnej odpowiedzialności – że tam może być podsłuch, bo ten »Radosław« jest taką postacią dwuznaczną, że może on współpracuje z wiadomym Urzędem”.

Coraz bliższe związki ze środowiskami kombatanckimi bliskimi władzy, w tym z Mieczysławem Moczarem, ułatwiały prowadzenie interesu (od 1964 r. „Radosław” był jednym z wiceprzewodniczących Zarządu Głównego ZBoWiD). Według opinii syna, publiczna pozycja „Radosława” pomagała uniknąć podstawowego zagrożenia dla rentowności „prywatnej inicjatywy” – domiarów, „bo on się zawsze od tych domiarów wybronił. Bo to była najważniejsza sprawa, bo oni każdego takiego prywaciarza mogli... A jego trochę nie wypadało im niszczyć. Straszyli, straszyli trochę, ale zawsze się wybronił” (SM).

## Klienci

W kantorku na tyłach kawiarni, w którym wpisywano do ksiąg wszelkie operacje handlowe, „Radosław” przyjmował weteranów, zwracających z prośbami o napisanie podania, pomoc materialną, wsparcie w staraniach o uzyskanie rehabilitacji, renty, zajmował się członkami rodzin (zapamiętano wdowy i matki), niektórzy przychodzili starając się o uzyskanie miejsca na Cmentarzu Powązkowskim: „interesant ten prosił o mieszkanie, ten prosił o meldunek warszawski, ten prosił o jakąś zapomogę, ten prosił o to. Różne sprawy. W zasadzie były to sprawy socjalne. Wiele osób przychodziło, żeby ekshumować na naszą kwaterę” (CZ). Przychodzili także na salę, toczyły się rozmowy o wojennych zaszczytach i historiach więziennych. Weterani zjawiali się podobno codziennie, ich obecność koncentrowała zainteresowanie Jana Mazurkiewicza, płk. Tomkowa i CZ: „Pluta-Czachowski do kawiarni przychodził, godzinami rozmawiali z Plutą-Czachowskim. Później ta Basia, czyli Czachowska przychodziła. Kto tam jeszcze przychodził? No z tych wielkich? [...] Malinowski. Malinowski, to jest szef łączności. [...] Sanojca to prawie na co dzień był. [...] Rybicki

<sup>49</sup> AIPN, MSW, II/3854, k. 67, Informacja dot. komentarzy z II Kongresem ZBoWiD-u, 28 IX 1959. Oprac. mjr R. Kamiński, mjr Pawłowicz.

przychodził Maciej [...]. Rozłubirski bardzo często przychodził. Tym bardziej, że myśmy po prostu się lubili z Rozłubirskim. Razem z nami przecież na jednych barykadach walczył” (CZ).

Nie wszyscy jednak AK-owcy, którzy wiedzieli o istnieniu „Wikliny”, wstępowali do kawiarni. Według SM i CZ omijali ją np. Jan Rzepecki i Franciszek Niepokólczycki (według doniesień informatora SB z tamtego czasu „Franek przyjeżdża codziennie z Milanówka koło 10-ej skąd przeważnie idzie do »Colorado« na kawę”<sup>50</sup>). Jedną z byłych członkiń Wojskowej Służby Kobiet, która walczyła w Powstaniu Warszawskim, mieszkająca na Tamce: wspominała: „pamiętam tę kawiarnię, ja może tam przypadkowo byłam, bo to moja dzielnica, mogłam gdzieś wracać, tam się robiło zakupy, tam sklep rybny był, tam był świetny sklep z lnem. Więc mnie się wydaje, że jak tam robiłam jakieś zakupy, nie wiem, czy mi się pić chciało, czy byłam zmęczona, że ja tam raz, może dwa razy byłam. Ale ja nie byłam w tym środowisku, z całą pewnością”<sup>51</sup>.

Jaka część pozostałych bywalców „Wikliny” wiedziała o AK-owskim kontekście jej istnienia? „Przelotowość” lokalu może sugerować, że nie była to wiedza powszechna. „Zawsze był ruch. Bo ona była w takim przelotowym punkcie, że tam zawsze był ruch” – mówi o „Wiklinie” CZ. Tam było dużo klientów, bo jednak często czekali ludzie na stoliki. [...] Wewnątrz nie było gdzie, na zewnątrz, widzieli, że wychodzili... [...] Tam była taka brama. Zawsze jednak czekali. Nie było tak, żeby były miejsca wolne. Tam zawsze była kolejka. [...] Chociaż jak było bardzo zimno kiedyś, to wewnątrz czekali, między szatnią a wejściem. Zimą” (ES). Pytana, kto bywał w „Wiklinie”, pani DZ odpowiada: „Miejski tłum. Może byli jacyś stali bywalcy, tego nie wiem, ale chyba nie było takich jakichś wyraźnych. Ja nie zapamiętałam takich jakichś szczególnych postaci czy osób, które powtarzałyby się tam, mimo, że ja tam bywałam wielokrotnie”.

W pamięci innych rozmówców zapisali się stali, charakterystyczni bywalcy i znajomi. „Codziennie przychodził kapelan z pl. Grzybowskiego, ksiądz, on był kapelanem któregoś oddziału Armii Krajowej, nie pamiętam, który przychodził na kawę, bo musiał tę kawę właśnie w »Wiklinie«, taki sentyment miał. Taki starszy” (CZ). Wpadali na kawę milicjanci, kontrolujący ruch na skrzyżowaniu. „Szef powiedział, zawsze stali, deszcz, nie deszcz, »panowie macie tu za darmo kawę«” (CZ). „Przychodzili regularnie. Tam było chyba ze trzech milicjantów i kobiety. [...] Czuli się bardzo swojsko. Byli bardzo mile widziani” (ES). W pamięci pozostała wizyta w kawiarni popularnej aktorki: „Pamiętam, właśnie

<sup>50</sup> AIPN, 03330/217, t. 2, k. 181, 182, Doniesienie agencyjne...

<sup>51</sup> Rozmowa z IM przeprowadzona przez Joannę Wawrzyniak, 29 kwietnia 2005 r.

nakręcili ten film »Smarkula« i zobaczyłam tę Anię Prucnal, która była sama. Siadała, tam takie wysokie stołki” (ES).

Wydobyciu z pamięci innych bywalców pomagała identyfikacja przestrzen- na okolicy lub charakterystyczne zdarzenia, z jakimi się wiązali. Stałą kategorię klientów „Wikliny” stanowili widzowie z kina „Bajka”. Poza tym „Z biura przy- chodzili, urywali się na kawkę. Przecież cała ta Świętokrzyska to biuro za biurem. Przychodzili ze sklepu z Marszałkowskiej. Mogę tylko opowiedzieć taki ciekawy numer, jaki wyszedł, że żona Gomułki kazała sobie zrobić obrusy lniane, tam, pamiętam, zaraz był sklep lniański, »Polski Len«. Tam przychodziła ta kierow- niczka do nas zawsze na kawę. No i Gomułka kazała takie serwetki porobić, ręczniki tkane z takimi kogucikami. I to leżało u nich rok czasu, i tego Gomuł- kowa nie odebrała. No to ja namówiłem tę kierowniczkę: Ja bym rok czasu nie trzymał, zamroził te pieniądze. To ona mówi: A wie pan, panie Czesławie, ma pan rację. Trzeba to sprzedać. I obrusy ładne były, te lniane, takie serwetki po sześć, do kompletu. Mówię: To my chętnie rozprowadzimy między siebie z dzie- sięć kompletów. Ja sam wziąłem jeden taki komplet. Okazało się za pół roku, Gomułkowa przyjechała po odbiór. No i draka, nie ma tego. No to kierownic- kę zdjęli z tego sklepu i przenieśli na pl. Zbawiciela, bo Gomułkowa kazała ją zwolnić. A z pl. Zbawiciela kierowniczkę dali tu, zamianę zrobili. A ta kierow- niczka do nas i tak na kawę przyjeżdżała. Taki numer opowiadam, to, co sobie przypomniałem. Jeszcze do dzisiaj chyba mam parę serwetek z kogutem, bo to dobry len” (CZ). Panowie SM i CZ są po latach zdania, że w lokalu było niewiele młodzieży i że przeważali w nim mężczyźni.

Pewne cechy publiczności „Wikliny” były uchwytne z perspektywy osoby stojącej za kontuarem. Pani ES potrafi po latach wskazać na wyróżniające się grupy bywalców. Zastrzegła, że zapewne kelnerki, krążące po sali, były w stan- nie rozpoznawać większą liczbą stałych klientów i grup; barmanki poznawały natomiast lepiej osoby skłonne do rozmowy, siadające na stołkach w pobliżu kontuaru. Często pojawiali się więc mężczyźni zainteresowani samym obcowan- niem z personelem: „Zawsze przychodzą goście, żeby pogadać. A zwłaszcza jak jest młoda obsługa, to wie pani, że przychodzą. [...] O czym mężczyźni rozma- wiają z kobietami? Tam były bardzo efektowne kobiety, w barze, Lilka była bardzo efektowna, więc przychodzili, zwierzali się, różnie. [...] Lilka była bardzo ciekawą osobą, do niej dużo absztyfikantów przychodziło, wpatrywali się, albo nic nie mówili”. Gdy skłonni byli do zwierzeń, poruszali tematy „przeważnie rodzinne. Typowo damsko-męskie. Trzeba było komuś opowiedzieć o tym, więc najlepiej zawsze obcej osobie”. Niekiedy towarzystwo wpatrujących się lub

skłonnych opowiadać o swoich problemach życiowych mężczyzn stawało się kłopotliwe.

Stały klientkami były sprzedawczynie ze sklepu futrzarskiego na rogu Świętokrzyskiej, które „przychodziły przed pracą i tylko kawę piły i ciastka jadły [...], zresztą bardzo miłe panie, pamiętam. [...] No, ale to był taki chyba dosyć luksusowy sklep, właściwie. [...] Ja chyba w ogóle nigdy nie byłam w tym sklepie. A nie, byłam. Byłam! Bo dziewczyny przyszły i powiedziały, że rękawiczki są. Ot. To wtedy byłam raz w tym sklepie” (ES). Zapamiętani zostali pracownicy drukarni Domu Słowa Polskiego na Miedzianej przychodzący „codziennie po zmianie” oraz wydawnictw NOT i PWN ze Świętokrzyskiej. Bywalcy, traktujący „Wiklinę” jako miejsce regularnych spotkań, prosili barmanki o przekazywanie wiadomości znajomym: „na tej zasadzie, że byłem, że będę jutro o tej samej godzinie. Jak już się tam kilka lat pracuje to wiadomo. Normalne. Jak w domu” (ES). Charakterystyczną grupą byli właściciele prywatnych sklepów i zakładów usługowych, mieszczących się w pawilonach po drugiej stronie ul. Marszałkowskiej, „którzy ciągle opowiadali o domiarach [...] i wcale się nie krępowali” (ES), „Bo normalny taki prywatniarz to żył, miał postrach, że przyjdą, że co chwila będzie domiar” (SM). Jeden ze znajomych „Radosława” „miał tam sklep w tych pawilonach. Miał taki ładny sklep spożywczy. [...] oprócz tego budował dom. On ten dom budował dziesięć lat. Mógł to wybudować w ciągu roku, ale z powodów podatkowych budował go dziesięć lat tylko po to, żeby uniknąć domiarów. Takie były kalkulacje. Tak samo samochód. Jeżeli ktoś kupił samochód, to zaraz przychodzili i pytali się, skąd pieniądze na to” (SM).

Cechy środowiskowe kawiarni zapewne przyciągały uwagę organów bezpieczeństwa. Zachowało się doniesienie informatora o spotkaniu w „Wiklinie” z architektem Jerzym Staniszkisem<sup>52</sup>. Choć pani ES nie pamięta oznak inwigilacji policyjnej lokalu, panowie SM i CZ nie mają wątpliwości co do jej istnienia. CZ wspomina, że „»cichociemni« jak przychodzili, to przeważnie siadali tu, w rogu, żeby mieć wgląd na całość. I co chwila przychodzili, i do mnie: »Panie Czesławie, niech podam Pułkownikowi rękę...«. No to idę: »Pułkowniku, 'cichociemny' chce rękę podać«. No to Szef wychodzi, grabulka. »Jak się pan czuje?« – »A, na złość wrogom dobrze«. Tak, że w każdym razie – takie historie były. W większości to oni tutaj zajmowali, na stojakach, lub tutaj w rogu lub tu w rogu [pod oknami]. To wtedy [mieli] obraz, kto przychodzi. Prawdopodobnie i zdjęcia robili. Tak mi się wydaje, przecież – nie mieli warunków na to, żeby robić? To dla mnie nie ulega wątpliwości. [...] »Cichociemni« przychodzili i pytali się,

<sup>52</sup> AIPN, 03330/217, t. 2. k. 183, Doniesienie agencyjne...

jak długo będzie konspiracja w »Wiklinie«. Wielokrotnie się pytali. Nie ulega wątpliwości, była non stop obserwowana »Wiklina«”.

W jakim stopniu świadomość inwigilacji wpływała na zachowania właścicieli i bywalców? „Ojciec [...] wyraźnie mówił: »Niech oni wiedzą o czym mówimy, niech wiedzą, że żadnej konspiracji nie prowadzimy»” – wspomina SM. Bywalcy swobodnie rozmawiali o sprawach akowskich (przede wszystkim o Powstaniu, więzieniach powojennych i trudnościach życiowych), jednak wszyscy zastrzegają, że nie poruszano raczej spraw politycznych. „Tu to raczej ostrożnie. Raczej z tymi kawałami politycznymi... Ale akowskie sprawy – tak. Nikt się nie krępował. Ale takie polityczne kawały to raczej... Za taki polityczny kawał to się siedziało. Raczej o tym, co było, to się rozmawiało” (CZ). „Nie rozmawiało się o polityce, a jeżeli, to na zasadzie takiej, że opublikowano kolejne przemówienie Gomuły i ono było śmieszne, więc człowiek się raczej szyderczo do tego nastawiał. To było takie machanie ręką, pełne rezygnacji. Rozmawiało się o jakiś sprawach prywatnych, pracy, o studiach, o wydarzeniach kulturalnych, wtedy były znaczące różne takie wydarzenia w tamtym okresie, były pisma kulturalne. Rozmawiało się o tym, co się ukazało, np. w »Kulturze« czy »Przeglądzie Kulturalnym«, kto komu dowalił. Myśmy się interesowali tym, co się dzieje wtedy w Warszawie, ale to było raczej takie zainteresowanie mniej polityką, a bardziej kulturą” (DZ).

W sierpniu 1959 r. odwiedził PRL wiceprezydent USA Richard Nixon. Przyjazd tej rangi osobistości z Zachodu – tym bardziej z mitycznych Stanów Zjednoczonych – był ogromnym i długo pamiętanym wydarzeniem, któremu były w stanie dorównać w następnym dziesięcioleciu tylko wizyty marszałka Jospia Broza Tito i gen. Charles’a de Gaulle’a. Pan SM zapamiętał epizod związany z »Wikliną”: zgromadzili się w niej amerykańscy dziennikarze, obsługujący wizytę, i właśnie SM okazał się jedyną osobą znającą angielski (dzięki wieloletniemu pobytowi w Wielkiej Brytanii). „A oni się strasznie dziwili. Ja się nawet nie przyznawałem, że ja jestem z Anglii. »Nie, przypadkowo«. A oni byli oczarowani, że nagle można się z kimś porozumieć. A ja pamiętam, że to było w ten sposób, że nikt nie wiedział dokładnie, którą trasą on miał jechać. A oni widocznie mieli jakiś cynk, domyślali się, bo nie byli pewni, że on mimo wszystko będzie jechać.... Nie byli pewni. Ze mną rozmawiali, że nie byli pewni. On jechał ulicą od Nowego Świata, skręcił w Świętokrzyską, no i tutaj gdzieś koło »Wikliny«. Tłumy wtedy stały, oczywiście. No i oni wtedy tam jakiś posterunek mieli. I jak tylko dostali ten cynk, to z tymi aparatami wszystko tam poleciało”. Pan SM nie przypomina sobie, by obawiał się czegoś, rozmawiając z zachodnimi dziennikarzami. „Przede wszystkim chyba tam z podsłuchem to musiałby

być ktoś, kto dobrze znał angielski, to raczej [śmiej] miał małe szanse na to. Ja nie wiem, ja rozmawiałem swobodnie. Oni też się mnie pytali o takie rzeczy, o nastroje, co my mówimy. A ja mówię, że owszem, że Nixona to my wszyscy kochamy tutaj, i tak dalej. Amerykanie na to »uuu«. Gdyby ktoś to podsłuchał wszystko to może by się zapytali, skąd ten entuzjazm. Ale ja wtedy to rozmawiałem zupełnie swobodnie”.

Według relacji SM i CZ „Radosław” z żoną przekazali „Wiklinę” Mieczysławowi Kiełbińskiemu na początku lat siedemdziesiątych z trzech powodów. Po pierwsze, wiek nie pozwalał im już na codzienne dogłębne oglądanie spraw. Po drugie, kontakty środowiskowe Mazurkiewicz mógł przenieść do ZBoWiD-u. Po trzecie, co sugeruje CZ, miało znaczenie zmęczenie policyjną inwigilacją („Szef już w ostatnim okresie, jak oni zaczęli naciskać, że ta konspiracja tu się tworzy, zdecydował się prawdopodobnie na likwidację tej »Wikliny«. Zresztą mnie namawiał, żebym przejął tę »Wiklinę« i dalej prowadził. Ja się po prostu nie zgodziłem, bo nie potrafiłbym organizacyjnie tak to ująć”). Kiełbiński był weteranem „Żegoty”, więźniem w czasach stalinowskich, a po 1956 r., prezesem Handlowej Spółdzielni Inwalidów. „I po prostu jemu za symboliczną złotówkę Szef przekazał tę »Wiklinę«. Ten żyrandol to więcej kosztował, czy ten ekspres do kawy drożej kosztował. [...] Wszystko przekazał za wyjątkiem nazwy. I »Wiklina« została zdjęta, a została nazwana »Urszulka«. [...] Dlatego, że ta kierowniczką, która została kierowniczką tej kawiarni, nazywała się Urszula Urbańska. I żeśmy się wszyscy razem zastanawiali, co zrobić, jak ją nazwać. Wobec tego, ponieważ Urszulka przejmowała tak symboliczną nazwę, wobec tego nazwana została »Urszulka«” (CZ). Dalsza działalność kawiarni to „zupełnie inna historia”, choć związana przecież ciągle ze środowiskiem AK.

### „Wiklina” jako enklawa?

Znawca dziejów Niemieckiej Republiki Demokratycznej zwrócił uwagę na znaczenie kawiarni jako „namiastki sfery publicznej” w państwie totalitarnym, dającej niewielkim grupom ludzi możliwość nawiązania dialogu wykraczającego poza narzucone ramy. W berlińskim cafe-barze „Espresso” spotykali się w latach siedemdziesiątych młodzi intelektualiści, wymieniali prowadzonymi z Zachodu książkami, rozprawiali o Szkole Frankfurckiej i poglądach Maxa Webera. „Espresso – podkreśla Stefan Wolle – [...] w żadnym razie nie było ani siedzibą opozycji, ani oporu. Goście w kawiarni snuli co prawda refleksje [...] na temat niezależnego ruchu pokojowego, przykościelnych grup opozycyjnych

i ich akcji, zachowywali jednak wobec tego wszystkiego względny dystans<sup>53</sup>. Znamienne, że historyk niemiecki czerpał wiedzę o „Espresso” z zachowanych dokumentów tajnej policji. Zjawisko nadzorowano, lecz pozwalano mu istnieć. Czy podobnie było w wypadku „Wikliny”? Jako instytucja społeczna, kawiarenka ta wprowadza historyka w „szarą strefę” rzeczywistości PRL – nie tylko ekonomiczną. W tolerowaną, częściowo znaną organom nadzoru, a częściowo zapewne im umykającą, przestrzeń społecznych kontaktów, które trudno opisywać używając kategorii „oporu” i „przystosowania” jako opozycyjnych. Właściwy sens „Wikliny” można znaleźć – jak się zdaje – gdzieś pomiędzy tymi pojęciami.

Wspomniana kilkakrotnie „przelotowość” pozwala sądzić, że dla wielu osób kawiarnia stanowiła tylko przystanek podczas załatwiania spraw na mieście („czy mi się pić chciało, czy byłam zmęczona, że ja tam raz, może dwa razy byłam”). Znaczenia nadawane miejscu przez różne grupy ludzi mogły być jednak odmienne. Dla pracowników okolicznych sklepów i urzędów kawiarnia stanowiła jedyne miejsce w okolicy, gdzie mogli wypić poranną lub popołudniową kawę, a dla adoratorów atrakcyjnej barmanki miejsce flirtu. Pani DZ umawiała się w „Wiklinie”, dlatego że było to dla niej wygodne z powodów komunikacyjnych. Jak można sądzić, kawiarenki podobne do „Wikliny” pozwalały odizolować się od nieprzyjaznych ulic miasta, które nie było już zrujnowane, nie było jednak jeszcze odbudowane – w sensie materialnym i społecznym. Kawiarenka z wiklinowymi meblami była miejscem przytulnym, izolującym od nieprzyjaznej przestrzeni: „Bezbarwność, szarość, przygnębienie. Poczucie takiej beznadziei jakiejś, smutek. [...] Te tramwaje straszne, ta potworność, ta szarość... Człowiek z gazetką stojący, który na nic nie reagował... [...] Ten tłum za PRL-u, to społeczeństwo było tak strasznie zatowizowane, żyło się w takich maleńkich środowiskowych enklawach” (DZ). Dzieje „Wikliny” można uznać za przykład utrzymywania się jednej z takich enklaw. „Wiklina” była więc czymś więcej niż anonimową, przelotową kawiarenką obok kina, przy ruchliwej, choć zdegradowanej ulicy. Stanowiła sposób na przeżycie. Jej właściciele odtwarzali świat relacji, w którym znaczenie miały swoiste, środowiskowe kody kulturowe. Dzięki wojennej przeszłości i sile mitu Armii Krajowej obdarzeni byli tym, co socjologowie nazywają „kapitałem społecznym” – siecią znajomości profitującą ekonomicznie. W tej sieci liczył się jednak nie tylko zysk, ale również wzajemność.

---

<sup>53</sup> S. Wolle, *Wspaniały świat dyktatury. Codziennosc i wladza w NRD 1971–1989*, Warszawa 2003, s. 229.



Przykład „Wikliny” zdaje się głównie potwierdzać trudności interpretacyjne w odniesieniu do realiów PRL. Funkcjonowanie kawiarenki nietrudno uznać za dążenie do niezależności sprzecznej z założeniami „systemu”, jednak niełatwo – za przejaw „oporu społecznego”. Przecież trwanie „Wikliny” było ułatwione (lub umożliwione) przez powiązania właściciela z oficjalnie uznaną organizacją kombatancką. W tym sensie kawiarnia wpisywała się w „system”, czy też mieściła na jego marginesie, jaki mógł istnieć po 1956 r. Warto tu jednak przytoczyć uwagę Giovanniego Leviego, że nieprzypadkowo dyskusja o znaczeniu mikrohistorii nie wypływa z teoretycznych tekstów i manifestów<sup>54</sup>. Historia „Wikliny” zdaje się potwierdzać wątpliwości wobec przyjmowanych dość powszechnie interpretacji. Przestrzeń społeczna z nią związana zdaje się bowiem „szara” czy marginalna tylko wtedy, gdy przyjmuje się „system” jako główny punkt odniesienia w badaniach nad powojenną Polską. Zapewne historie czterdziestu kilku innych prywatnych kawiarni i restauracji warszawskich odsłoniłyby równie interesujące mikroświaty; wobec ich bogactwa i różnorodności ogólne koncepty stosowane dla opisu „PRL” zdają się nieporęczne.

---

<sup>54</sup> G. Levi, *On Microhistory*, w: *The New Perspectives on Historical Writing*, red. P. Burke, Pensylwania 2001 [1992], s. 97.